

4097  
A

**Jak śp.**

**Józef Lipiński**

w r. 1846tym

uciekł z fortecy i znów schwytyany został.

Rzecz

przez niego samego opisana.

---

W POZNANIU.

NAKŁADEM L. RZEPECKIEGO Fil. Dra.

Czcionkami W. Simona.

1892.

1848

Journal of the

1848

Journal of the

1848

Journal of the

W. F. FOX

W. F. FOX

W. F. FOX

1848

Red. EUGENIUSZ JAN NOWAK

7395

Jak śp.

**Józef Lipiński**

w r. 1846tym

uciekł z fortecy i znów schwytyany został.

Rzecz

przez niego samego opisana.

W POZNANIU.

NAKŁADEM L. RZEPECKIEGO Fil. Dra.

Czcionkami W. Simona.

1892.



113653

Było to dnia 8go Listopada 1845go roku, jak się zjawiała u mnie policyja i żandarmi rano po godzinie pół do ósmej. Wiedziałem o tém, ponieważ bratowa moja doniosła mi, iż brat mój Marceli był aresztowany, Na czele policyji był komisarz Hausfelder. Obstąpili mieszkanie moje na Gołębięj ulicy Nr. 5 i remizę na Szkólněj ulicy.

Właśnie z pracowni udałem się do remizy i zamknąwszy bramę, kazałem memu stolarczykowi przerzynać na pół drażki 7 stóp długości z jesionowego drzewa. Zapukano do bramy; wyjrzałem oknem i z drugiego piętra zobaczyłem policyją i żandarmów i pytam, czego chcą.

Żądał komisarz, abym otworzył.

Zeszedłem na dół i otworzyłem.

Tu wszczęto rewizyją pomiędzy machinami, na dole, na piérwszém piętrze i na drugiem. Na kozłach było parę set drażków, które w oczach komisarza Kwieciński stolarz przerzynał. Nie pytają się, co to jest, nie odpowiadałem także.

Ztąd udaliśmy się do mego mieszkania i pracowni, i zaczęto rewizyją. P. Hausfelder spisał protokół, który podpisałem, nie znaleźli ani źdźbła, coby mnie kompromito-

Józef Lipiński.

wać mogło, i poszedł do prezydenta policyi, znanego p. Minutolego, zdając raport, zawsze pozostawiając policyją niedaleko mego mieszkania.

Po upływie godziny przysłała prezydent, abym przyszedł do niego, nota bene podczas niebytności policyi.

W tym czasie pożegnałem się z żoną i memi trojgiem dziećmi, bo przeczuwałem, że mnie już nie puszczą.

Poszedłem więc do kancelaryji tegoż pana. Proszono mnie, abym usiadł, lecz p. prezydenta ani widnąć. Po 12tej w południe przyszedł p. komisarz Kliem i wezwał mnie, abym się za nim udał, i zaprowadził mnie na drugie piętro do pokoju, w którym okienko wychodziło na teatr.

Wtenczas żona, widząc że nie wracam, udała się do prezydenta z zapytaniem, co się ma znaczyć, że mąż nie wraca. Prezydent odpowiedział, że mąż ma pomieszkanie wygodne, gdyż obwiniony o przestępstwo polityczne.

Żona odpowiedziała, że jeżeli go arestują, to przynajmniej nie za żadną zbrodnią.....

Zniewoliła go, że pozwolił jój się ze mną widywać i obiad mi z domu przysełać. Lecz drugiego dnia oznajmił méj żonie, że może się zaś we fronście ze mną widywać.

Tu znowu odpowiedziała, że nie tacy jak mój mąż, lecz jak.....

Dnia trzeciego po mém uwięzieniu

miałem być odprowadzony do fronfestu. Sekretarz pewien z policyji powiedział méj żonie, że mnie o 10tój rano odprowadzą. Wiedząc o tém, czekała koło teatru, od strony placu, aby jój z policyji nie widziano, i kiedy szedłem z żandarmem, moja żona przystępuje i bierze mnie pod rękę i razem idziemy. Żandarm żądał, aby żona odeszła, lecz nic nie pomogło i oboje stanęliśmy w pokoju śp. inspektora Lozereca. Tu się pożegnała ze mną żona i poszła, a mnie osadzono na piérwszém piętrze, w pokoju środkowym; okno wychodziło na odwach Frydrychowski.

Protokółów dotąd żadnych nie składałem, jak tylko jeden przed assesorem Ewletem, który mię, t. j. przy sekretarzu policyji, p. Hajerze, zapytał o rozmaite rzeczy, toż samo, że miałem robić kosy.

Odpowiedziałem, że prawda. O jak się ci panowie ucieszyli takiem zeznaniem; spojrzawszy się na siebie, uśmiechnęli się, ale ja wkrótce z błędu ich wyprowadziłem, mówiąc:

— Wiécie panowie, że robiłem sieczkarnie i setki ich potrzebowałem. Tu uśmiech zobaczyłem znowu.

Pytano, czy robiłem klucz do fortecy. Tu powiedziałem z całą szczérością, że nie jeden, ale więcéj, i komu dałem. Odbierali inżynierowie, oficerowie fortecy, nie wiem, czy panowie nie wiedzą, że okuwałem fortece, że mnie jednemu oddano fortyfikacyjne prace i uznano za najdoskonalsze, a żaden

Niemiec nie mógł mi wyrównać. I tu z klucza zrobiło się fiasko.

Zapytano mnie, kto u mnie bywał.

Powiedziałem, że gdybym był wiedział, że się będziecie o to pytać, to byłbym zapisał każdego, co był u mnie. Był to krótki z wszystkiego protokół.

Siedziałem już 2 tygodnie, gdy p. prezydent przysłał szpiega, aby wsadzono go do méj celi, gdzie tylko było miejsce na jedną osobę. Wprowadził go p. Lozerec, mówiąc, iż mam mieć kolegę. Człowieka tego znałem z nazwiska, Ziegler.

Mając książkę śp. Dunina, czytałem w niej. Gdym przestał czytać, zaczyna tenże Ziegler złożyć i opowiadać mi, ile to osób aresztowanych i czy wiem o tém, że w Kórniku i tu w pałacu hr. Działyńskich mamy broń, i rozmajite brednie.

Wtém stojąc w oknie i patrząc na ulicę, mówi do mnie:

— Patrz pan, idzie ten łotr, co tyle ludzi nieszczęśliwych porobił, tyle mężów od żon i dzieci powsadzał do więzienia; ten łotr wisić powinien za te ofiary.

Odpowiedziałem mu:

— Słuchaj pan, oto mam książkę do modlitwy, poleć Bogu swych nieprzyjaciół; bo jeżeli on zasłużył, to Bóg go ukarze.

NB. był to prezes Minutoli.

Był to już wieczór koło szóstej, kiedy dozorca więzienia przyszedł i powiedział, że Ziegler do innego więzienia przeprowadzonym zostanie. Po odejściu tegoż z pół godziny,



zapukałem na dozorcę. Gdy wszedł, pytałem się, czy jest jakiś sędzia na kryminalnym sądzie.

Poszedł i powiada, że jest. Bo mam ważne rzeczy do powiedzenia. Był to pan assesor Ewler. Pyta się, co mu powiem.

— Otóż, panie assesorze, siedział ze mną dziś więzień i opowiadał mi takie rzeczy i o prezydencie.

Ten się śmiać zaczyna i powiada, że tego pisać nie będzie, lecz mogę to p. prezydentowi M. powiedzieć.

— Więc pan takich rzeczy nie chce pisać co ja panu donoszę, co słyszałem?

Odpowiedział, że nie. Zadzwoił na dozorcę i kazał mnie odprowadzić do więzienia.

Przesiedziałem więc teraz bez indagacji do 27go 11go 45go.

Nadmienić muszę, że w dwa dni po wypuszczeniu szpiega, zjawia się pod memi drzwiami jakiś więzień, który osądzony jak mówił za p rwanie deski z cegielni, skazany był na 4 tygodnie kary; że był na posłudze i chodził za sprawunkami do miasta.

— Panie, czy pan się nazywa Józef Lipiński?

— Tak, i co chcesz odemnie?

— Otóż kiedy chodziłem po podwórzu, rozmawiało dwóch sędziów o panu, że tyle dowodów jest na pana, że pan spisek robiłeś, że aresztowano żołnierzy z 6go pułku w Krotoszynie, ludzi w Ostrowie, Odalanowie; że jakiś podoficer Skrzycki wszy-

stko powiedział, gdzie pan byłeś i żeś namawiał ludzi.

Nie widząc go, powiedziałem:

— Słuchaj, mój bracie, dziękuję ci za to co mi powiadasz o tych nowościach, które mnie bardzo mało co interesować mogą, bo ja nic nie wiem i do niczego się nie poczuwam.

— To też ja nic na to nie mówię; toć to dobrze, że pan nic nie wie, ale jeżeli p. czego potrzebujesz, to ja idąc do miasta, sprawię. Tak też postąpił.

Wiedziałem o tém wszystkiém, że co mówił prawdą było, bo i oknem widziałem kręcących się żołnierzy z 6go pułku, a o Skrzyckim toż samo.

Dnia 28. 11. 45. zjawił się znany, ów okrzyczany inkwirent, dyrektor policyji Dunker z Berlina. Wiadomo, iż miał władzę rozrządzać kasami rządowemi, aby wydobyc ten spis, przez ś. p. króla pruskiego Fryderyka IV i czém się chlubił sam, jak później wykażę.

Zawołano mnie na sąd zaraz o 3ciej godzinie po południu. Miał przy sobie protokolistę Meisnera, podoficera przy komendanturze, z którym znałem się. P. Dunkera, nie wiedząc, kto to jest, nie wiedziałem jak tytułować, a że miał jakąś wstążkę u surduta, sądziłem, że jest audytorem wojskowym i ma za protokolistę sierżanta.

Zapytał mnie o nazwisko i jak chcę być słuchanym, czy po niemiecku, czy po polsku.

— Pytam pana, czy znasz mój ojczysty język?

Odpowiedział, że nie zna.

— Więc jak mnie pan możesz słuchać, kiedy nie znasz mego ojczystego języka?

On wskazuje na owego podoficera.

Odpowiadam, że my się znamy i on tak zna mój ojczysty język, jak ja niemiecki.

— Więc cóż zrobimy?

— Oto jeżeli pan przyjmiesz warunki, które podam, to możesz pan po niemiecku mnie słuchać.

— Czy chcesz mi warunki stawiać?

— Jeżeli panu się podobać nie będzie, to możesz zrobić co chcesz, a ja żadnego nie złożę zeznania.

— Więc czego żądasz?

— Oto, żebyś pan napisał to: jeżeli nie będę rozumiał jakiego słowa, obowiązuje się mi tak przetłumaczyć, abym mógł powiedzieć, iż rozumiałem i podpiszę protokół, który pan prowadzić będzie.

Przystał i na wstępie zastrzegł na pierwszej karcie tę naszą ugode, co podpisaliśmy wszyscy trzej.

Zaczął od spisku, od Skrzyckiego podoficera i tak od razu przechodzi, sięga Krotoszyn, Sulmierzyce, Ostrów, Odalanów, Kryrowo. R. Koczorowskiego itd. Że objeżdżałem 2 razy Księstwo i namawiałem do rewolucji.

Odpowiedziałem wtenczas:

— Jeżeli tak urywkowo pan chcesz

mnie słuchać, to trudno nam będzie przyjść do końca, jeżeli zaś pan chcesz być poinformowanym dokładnie, gdzie byłem, co robiłem i z kim miałem do czynienia, to panu mogę powiedzieć te podróże historycznie, a wtenczas, jeżeli się panu podobać będzie, możesz monita porobić, że się z prawdą moje zeznanie nie zgadza, jeżeli mieć będziesz dowody.

Zgodził się na to.

Zaczął pisać więc ów Meisner. Wyjeżdżam wtedy, tj. opowiadając detalicznie, gdzie wstępowałem ze Skrzyckim, i to przez rozmaite wsie: Boguszyn i do pułkownika do Koźmina, Krotoszyna, Ostrowa, Omalanowa, Raszkowa, Szczurów, Sulmierzyc i nazad Krotoszyn, Benice itp. miejsca i wróciliśmy do Poznania, drogą także samą, to Kostrzyn, to Zaniemysł, to Książ i powtórnie Boguszyn i znowu znane okolice w powyższej indagacyji. Trwało to do 9tej godziny w nocy.

Kiedy zabębiono na czapensztreich, podniósł się ten pocziwiec z krzesła i pyta:

— Co to jest?

— Panie, to czapensztreich.

Tak się zląkł, myślał, że to rewolucyja. Podczas mego opowiadania przerywając, powiadał, że już i ci siedzą, gdzie byłem, i że nie zgadza się z prawdą to co powiadam, iż jeździłem, aby się przedstawić jako maszynista; i że bym nie myślał o tém, że on mi wierzy wszystko, i że posiada tę naukę,

iż potrafi wyczytać z rysów twarzy i oczów więźnia, czy winny lub niewinny.

— Jeżeli tak, to patrz pan na mnie i czytaj i roześmiałem się.

— Patrz, pan, czemu cię teraz twoji bracia nie odbiją z więzienia, kiedy tak wielkim kierowałeś spiskiem?

Odpowiedziałem:

— Czy pan słyszał, żeby wojsko coś robiło bez rozkazu dowódcy? Wypuść mnie, a zobaczysz pan, co umiem.

Była to ironiczna odpowiedź.

W czasie przesłuchów mówił do mnie, że tysiące zbrodniarzy miał przed sobą, ale tak zatwardziałego nie spotkał jakim ja jestem.

Odpowiedziałem:

— Wierzę panu, boś miał pewno ze złodziejami i zbrojcami do czynienia, ale nie z pocziwymi ludźmi.

A on milczał.

Widząc, że już taka różna godzina, po rozmaitych zarzutach zakończył protokół i ja do więzienia, a oni na miasto się udali.

Przyszedł 29. 11. 45. Na drugi dzień już po 8miej rano kazał mnie przywołać i znowu zaczyna się indagacyja, ale już nie ja opowiadam, tylko on robi zapytania, a ja skazany na odpowiedzi i tak co mówił do mnie i moje odpowiedzi zapisywał. Tu znowu trzymał mnie do 2giej z południa, porobił rozmaite monita, na które odpowiedź była taka, że nie mógł mię w niczém kompromitować.

Kiedy widział, iż na téj drodze ze mną nic nie zrobi, wziął się na inny sposób. Otóż powiada, iż ja jestem „ein verführtes Opfer“ i nie dziwi się, że się przyznać nie chcę, że boję się moich braci; lecz ja mogę temu zaradzić.

— Słuchaj pan, wszakże masz żonę i troje dzieci; miej wzgląd więc na to, co to za hańba, bo chociaż się wypierasz, mamy dowody w rękach i czeka cię śmierć pod toporem. Nic ci nie poradzi, więc nie daj doczekać téj hańby twój żonie i dzieciom.

Ja ci dopomódz mogę, mam ja tę władzę daną od najjaśniejszego króla, że dla mnie wszystkie kasy otworem stoją, mogę tyle brać pieniędzy, ile chcę, abym wykrył ten spisek. Ofiaruję ci 12,000 talarów, wywożę pana do Brandenburgiji, zabierzesz żonę i dzieci z sobą i dam wam te pieniądze do rąk, jeżeli przyrzeczesz, iż mi ten spisek odkryjesz, bo tu zostać byś nie mógł, bo by cię twoji bracia zmarnowali.

Téj całej przemowy nie pisali w protokóle, lecz mnie zapytuje o odpowiedź, i tę zapisał, a która w Berlinie przed Kammergerichtem dopomogła mu, iż stracił urząd, kompromitując króla.

Odpowiedziałem jak niżej:

„Ich rufe Gott als Zeugen, dass ich den Weg der Gerechtigkeit gehe, ich habe Niemandem sein Eigentum verlangt, aber meins habe ich vor Gott geschworen, nicht zu schenken. Das Geld kann

mich nicht locken, der Tod kann mich nicht schrecken, und die Zukunft meiner Frau und Kinder hängt von der meinigen ab. Kommt die Sache zu Ende, so wird sich jeder Richter überzeugen, dass ich stets Wahrheit gesprochen habe und kein Wort mehr zugeben oder zurück rufen werde.“

Podpisaliśmy protokół. Oni ze sądu, ja do więzienia rozeszliśmy się. 12. 12. 45. zdaje mi się, iż przeniesiony zostałem do fortecy (Kernwerk), do reduty 4, w której urządzono więzienia w kazamatach. Mnie dostało się w dolnym piętrze, okno 6 stóp wysokie, 22 stopy długie. Grudzień i Styczeń musiałem wśród dnia palić świece, które mi żona przysyłała. Nb. że tak jak teraz do fortecy, tak później do indagacyji w Poznaniu nigdy mnie pieszo nie prowadzili, tylko powozem odwożono i przywożono.

Żołnierz z forszpanem na koźle, a dozorca zenną w powozie siedział, a kiedy zajeżdżaliśmy przed frontest, to na odwachu Frydrychowskiem zawołano „raus“, a wtenczas brama frontestu się otwarła i powóz wpadł z nami w podwórze więzienia.

Było to w Styczniu, kiedy prezes reencyjny z prezesem Minutolim obchodzili więzienia w asyście 2 inżynierów, 2 dozorców i inspektora. Moje więzienie było oznaczone Nr. 14. Donoszą więźniowie, że jakaś rewizyja jest u góry i kto jest Nr. 13.

Obok mnie siedział Tomasz Spizewski, wysłużony żołnierz, dawniejszy właściciel kamienicy na sw. Marcinie; woła oknem, które do fossy prowadziło, że idą. Ja aby pokazać, jakie mam więzienie, zgasilem ma świecę.

Wchodzą więc i do mojej celi i pytają się, kto tu siedzi.

Nie dałem odpowiedzi, aż inspektor powiada, że Lipiński.

Rozpatrzywszy się, zobaczyli mnie stojącego. Zapytuje się mnie prezydent regencyjny, za co jestem aresztowany.

Odpowiadam, że p. prezydent Minutoli wie lepiej odemnie.

On na to:

— Przecież pan wie, o co cię słuchano?

— O to co szpiegi pańskie mówiły.

Prezydent reg.:

— Jakto?

— Oto p. prezydent M kazał do mnie szpiega wsadzić, a on widząc oknem p. M. mówił, iż ten człowiek co tyle ludzi nieszczęśliwych porobił, już dawno wisić powinien.

A prezydent M. odpowiada pokazując palcem na szyję:

— Chociaż mówię, że m wisić powinien, to nie mam mu tego za złe.

Odkłoniłem się i powiedziałem:

— Przepraszam pana prez. M., iż nie wiedziałem, że się pan da od takiego waga-bundy powiesić.

Prezes reg. pyta, jakie mam żądanie.

Odpowiadam, że chcę być wolnym.



— To być nie może.

— To też nic nie żądam.

Oficerowie i dozórcy tylko wargi przygryźli na tę mowę.

Indagacyji żadnych ze mną dalej nie prowadzono. Pisałem parę razy do szefprezydenta, aby mnie słuchano, lecz dostałem odpowiedź, że jak przyjdzie czas, to słuchać będą. Ja zaś pisałem w moich podaniach, że meine Geduld reisst aus, und ich werde nicht warten.

Teraz żona doniosła mi, że p. Teofil Magdz. arestowany w Toruniu. Pan Bóg zrządził, iż się dostał do tej samej reduty. Nr. 15 zajmował obok mnie podoficer Jan Kunkiewicz z 18go pułku. Podałem więc plan przez p. Dr. N., iż wypuszczę Teofila M. z więzienia i tym sposobem ujdzie inkwizycyji. Toż samo i Kunkiewiczza. P. Dr. N. siedział na sali tej, gdzie dozórcy, więc nie zabraniali mu też chodzić po gankach. Każdy sobie wystawić może, jakie ta moja propozycyja zrobiła wrażenie.

Przychodziła Wielkanoc. W Kwietniu 12go 46go przyszedł Dr. N. we Wielki Czwartek pod moje drzwi i pyta się, kiedy ich wypuszczę.

Powiedziałem, że ma się pytać Teofila, kogo ma dobrego znajomego, co by przy-iał konie po niego, niech napisze, a ja list wyekspedyjuję z fortecy. List ów był do p. Tesko w Gaju, lecz zastrzegłem, żeby nadmienić: chociażby konie i 14 dni stały, to dnia oznaczyć nie mogę.

Pan Dr. N. przyniósł mi ten list. W forticy u nas rąbano drzewo, a rębacze ci znali mnie bardzo dobrze, byli to z duszą wiarusy.

Zapukałem na dozórce, że chęć wyjść na swoją potrzebę. Dozorca odsunął się ode mnie, a na rębacza skinąłem. Wręczyłem mu list i szepnąłem :

— Z tym listem, kochany bracie, idź gdzie adres, schowaj, będziesz miał wynagrodzone. Jutro Wielki Piątek, nazad przędziesz, a na Wielką Sobotę wręczysz mi list.

I tak się stało, list przyniósł mi i oddał. mi i konie były we Wielkanoc.

Dozórca wypuszczali nas z więzień, bawiliśmy się razem, a pan Teofil i Dr. N nalegali, kiedy ich wypuszczę. Powtarzałem:

— Miéjcie cierpliwość, dałem wam słowo, a to dla mnie święte, tego co przyrzekłem, dotrzymam.

Tak przyszedł Poniedziałek po Przewodnicy. Pan Dr. N. przyszedł pod moje drzwi, może sam powiedzieć, co robiłem. Zastał mnie klęczącego, i prosiłem, aby trochę później przyszedł. I tak się stało. Pytałem się Dr.

— Czy masz pieniądze?

— Nie mam!

— Masz kredyt?

— Mam.

— Oto dziś was wypuszczę, lecz musisz odrobić z dozorcami, że mnie na górę

wypuszczą. Przyszykuj cukru, cytryn, araku; toż samo i Teofil, a ja zrobię ponczu i uczęstujemy dozorców. Muszę być wolny na górze, aby Teofila zamek otworzyć.

Wszystko Dr. N. odrobił, o 6 wieczorem byłem na górze. W grapie zagotowałem wodę, zrobiłem ponczu i nalałem dozorcóm po szklance od piwa, w których dobrze się pół kwarty zmieściło. Dla nas tj. Dr. N. i Emila Moszczeńskiego szklanę, dla mnie po małej, toż samo i żołnierzom w środku.

Dozorców było dwóch: Görke i Czajske. Zasiedli więc wieczorem do kart z Emilem Moszczeńskim i grali mażąc zawsze kręskę, a było ich 8. Teofil M. z niecierpliwością wyglądał tj. czekał. Dochodziło już pół do dziewiątej, już położyli karty, lecz ja zacząłem namawiać, aby jeszcze raz grali. Pan Dr. N. toż samo. Zastawiali się, że może inspektor nadéjść. To ja do méj celi pójdę; nim jeden z panów pójdzie mu otworzyć, drugi mnie zamknie.

— Zresztą grajcie, jutro będziemy mieli dobre śniadanie o zakład. Ja daję za was jednego talara papierowego co miałem, jak przegracie, a jak Emil przegra, da drugiego, i zgodzili się. Napisali 8 kręsek i zaczęli grać.

My z p. Dr. N. staliśmy przy stole. W kieszeni miałem z gwoździa wytrych. Kiedy się wsunąłem w ganek, otworzyłem zamek i szepnąłem:

— Teofil o piętro niżej.

Józef Lipiński.

Ja stanąłem nazad przy stole, więc T. M. widzieć nie mogli, będąc zajęci kartami, a żołnierze pewno sądzili, że także i F. S. był otwarty.

Pożegnałem dozorców, mówiąc, dobranoc, i żeby przyszli mnie zamknąć, a jutro mi powiecie, kto wygrał. Ponczu mamy dosyć.

Zeszedłem na dół. T. M. stał mając płaszcz, ja wszedłem do mojej celi, wziąłem czamarkę na siebie i rogatą czapkę. Otworzyłem Kunkiewiczowi, drzewo do wyjścia na drugą stronę fossy przygotowałem. Było 3 cale grube, 5 cali szerokie, od zabicia sztachet, gdzie były 3 armaty w 3 lukach. A że 3. 3. 46go wyprowadzili je na wały, drzewo od zabicia zostawili pod ścianą. Znając dobrze fortecę i ganki podziemne, powiedziałem jak wyżej, że okuwałem i zamki do tychże szykowałem.

Znałem położenie dokładnie. Otworzyłem kratę od szyszaty armat (to jest okno), kłódkę położyłem i odzywam się:

— Tu jest drzewo, po którym wyjdziemy i teraz Teofil wychódź.

Odpowiedział:

— Idź ty!

Ja wiedząc, że mur 6 stóp gruby, przesuwałem się na rękach, mając w rękę krucyfiks z nowego srebra. Ten krucyfiks z Chrystusem na krzyżu był używanym, kiedy świadkowie przysięgę wykonywali, toż samo i śp. ksiądz Siwicki, proboszcz Sulmierzyca, dyż na sądowy krzyż nie chciano przysię-

gać, a ja musiałem zawsze swój przynieść z więzienia w Berlinie.

Tu schwyciłem się muru i spuściłem się do fossy, podali mi drzewo. Przyczajwszy się do ziemi, ciągnąłem za sobą, aby mnie żołnierze stojący z jednej i z drugiej strony fossy na wałach nie widzieli. Zapomniałem powiedzieć Teofilowi i Kunkiewiczowi, że z okna jeszcze wysoko do fossy. Wyskakiwali więc i Kunkiewicz zgubił furazerkę. W tém Teofil przyskoczył i chciał za mną zaraz do- stać się z fossy, szepnąłem więc:

— Czekaj, bo złamiesz drzewo i żaden nie wyjdzie.

Wstrzymał się, bo droga po niém do- syć była pochyła. Kiedy stanęliśmy na wa- łach, położyłem ów wytrych na kamieniu, aby sobie władza nie łamała głowy. Żołnierz stojąc na warcie o 30 kroków, nie mógł nas widzieć, bośmy na skęćie wału stali.

— Teraz pójǳcie za mną, aby nas ron- da na wałach nie spotkała.

Spuściliśmy się na drogę, która idzie do Szeląga. W bramie na prawo był od- wach. Ja szedłem z owęj strony, T. w środ- ku, a K. zakrywszy się płaszczem, nie ma- jąc furazerki, z lewéj strony. Wkrótce sta- nęliśmy przy kościele Dominikańskim. Tu stanąłem i rzekłem do obydwoch:

— Jedźcie, macie konie, nie dajcie się schwytać, bo by was już nikt nie wypuścił i niech was Bóg prowadzi.

Na to Teofil:

— Czyś ty oszalał? Ja zostanę, ja we-

zmę odpowiedzialność na siebie; i rozłączyliśmy się.

Kiedy Dr. N. wyszedł, tego nie wiem. Przeszedłem Dominikany, ulice: Szewską, Szeroką i przed Ratuszem uderzyła 10ta godzina. Tu trafiłem p. Rydlewskiego, starszaka, który miał do wynajmowania powozy. Położyłem mu rękę na ramię i mówię:

-- Dobry wieczór.

Pocziwiec stanął i mówi:

— Jezus Maryja! co pan tu robi?

— Cicho, stary, czy możesz mnie wywieźć z miasta?

— Nie, bo wyjeżdżać nam nie wolno, nie mając karty od policyji, z kim i gdzie jedziemy.

— Więc pan milcz, żeś mnie widział; wiész, co by cię czekało. Zostań z Bogiem.

Toż samo i on powtórzył.

Udałem się na Szkólną ulicę i na Kozia. Tu gdzie dziś Bazar, i ostawił kamienicę nową, mieszkał śp. Bonitor Wlazłowski na 1szém piętrze. Wchodzę, drzwi zamknięte; zapukałem, już się spać kładli, kiedy przez drzwi pyta:

— Kto tam?

— Lipiński.

Otwiera drzwi z tym samym okrzykiem

— Jezus Maryja! i powiada:

— Żona pańska przed pół godziną ztąd poszła.

— Czy pan mógłbyś mnie za miasto wywieźć?

— Niel

To samo powtarza co Rydlewski.

— Kochany pan idziesz co dzień na prymaryją do Fary, przechodzisz obok okien mej żony, ona także chodzi z dziećmi, powiedz jej pan, że mnie już w forticy nie masz.

Poszedłem.

Na rogu Szkólnej i Gołębięj ul. mieszkała moja żona. Chciałem jej powiedzieć, lecz przechodząc widziałem osobę we drzwiach sieni w płaszczu. Nie chciałem się zbliżyć, a to jak się dowiedziałem, był żołnierz, któremu poleciłem uwiadomienie mej żony. Nie mogąc się dopukać do drzwi, stał w sieniach.

Przeszedłem Szkólną ulicę i tę ciasną obok apteki i wszedłem na chodniki ulicy Wrocławskiej. Gdzie dziś handel pana Brylińskiego, był handel cygar Neulendera. Były jeszcze drzwi otwarte i jasność biła na ulicę. Tu rozłączał mnie rynsztok, a środkiem ulicy szedł komisarz policyji Elsner z policyjantem i żandarmem. Patrzelismy na siebie, i jak później opiszę, przemówił komisarz E. do swych kolegów:

— Widzieliście tego co tu przechodził?

— Widzieliśmy.

— Komu podobien?

— Żywy obraz Lipińskiego.

Komisarz mówił:

— Siedzi on w dobrém miejscu.

Puściłem się do Górczyna. Nie piszę mniej znaczących rzeczy.

Stanąwszy w Górczynie, poszedłem do

Macieja Palacza, wtenczas sołtysa, a mego dobrego przyjaciela, i zapukałem do okna.

Żona się obudziła, przyszła do okna i pyta się:

— Kto tam?

Odpowiadam:

— J. Lipiński.

Żona budzi go.

— Macieju, wstawaj, bo pan J. Lipiński tu jest.

Noc była pogodna, gwiazd pełne niebo, lecz księżyc nie świecił. Było to 20. 4. 46. Pocziwy Maciej wyskoczył z łóżka i zabierał się do wyjścia. Tymczasem namyśliłem się, i aby nie zrobić go nieszczęśliwym, żeby się dowiedziano, unknąłem i poszedłem drogą do Komornik.

Pocziwiec wstał, szukał, wołał:

— Józef, bracie, gdzie jesteś? Lecz wszystko daremnie.

Wrócił do izby i powiada:

— Kobięto, tobie się śniło, żeś go widziała, przecież żywego ducha w podwórzu nie ma, przecież by się odezwał.

— Macieju, przecież widziałam go przez okno i rozmawiałam.

— Ale to nie podobna.

Na drugi dzień jadąc do Poznania przekonał się.

Mówi:

— Matka, ty masz racyjną, on tam musiał być.

Przyszedłem o punkt 12tój w nocy pod Komorniki i byłem obok cmentarza, kie-



dy stróż gwizdał na szosie we wsi. Posłyszałem, że ktoś jedzie i pies szczeka. Nie chcąc, abym był widziany, otworzyłem drzwiczki sztachetowe i wszedłem na cmentarz (był on wtenczas kamieniami opasany), zamknąłem drzwiczki za sobą i usiadłem pod krzyżem, czekając, kto przyjedzie. Wkrótce widzę wóz przykryty płachtą, był to furman ślązki. Kiedy nadjechał przed cmentarz, idąc przy wozie, pies zaczął przed cmentarzem szczekać. Widząc to furman, wskoczył na wóz, podciął konie i ruszył szybko dalej; pies pospieszył za woz m. Usłyszawszy, że stróż już ku kościołowi gwizdże, przesunąłem się przez wieś i udałem się do boru Rosnowskiego na lewo.

Zmęczony położyłem się na ziemi, lecz zrobiło mi się zimno. Wychodzę z boru i patrzę na pole, że się coś bieli, idę i znalazłem kupę gnoju, pomiędzy tymże dużo czystej słomy. Zbieram i zanoszę do boru i w tym barłogu spocząłem, aż świtać zaczęło. Zgarnąłem znowu wszystko i zaniósłem, z kądem wziąłem.

W Rosnowie mieszkał dziedzic p. Pomorski, który znał mnie z dziecka, będąc z mojami rodzicami w dobrej znajomości. W Komornikach dzierżawił probostwo ze mną spokrewniony p. Jaksiewicz, ale tu mieszkał i komisarz obwodowy p. Gregorovius, późniejszy lantrat w Pleszewie. Nie chciałem ich kompromitować i wołałem się udać do Wirów, na trakcie do Mosiny.

Było około 5tej rano, gdy przyszedłem

pod wieś. Fornal wyjeżdżał właśnie ze wsi przez mostek 4 końmi z gnojem. Pochwaliłem Pana Boga i pytam:

— Słuchaj, bracie, czy tu jest Józef Kamiński, ekonom?

— Tu.

— Czy u siebie?

— Nie, szedł do gorzelnii.

A ta stała o sto kroków od nas.

— Słuchaj, bracie, idź do niego i powiedz, że tu ktoś czeka na niego, aby zaraz przyszedł.

Fornal się wzdrygał.

— Ja się boję, aby się nie gniewał, że od koni odchodzę.

— Nie bój się, ja ci potrzynam konie. I poszedł.

Parę minut, a byli przy mnie obaj. Fornal pojechał w pole, my się uściskali i zapytał mnie o Jaśka, tj. Kunkiewicza. Był to cioteczny brat jego. Powiedziałem, że już go nie masz w fortocy.

Wziął mnie do gorzelnii, tam posiliłem się i napisałem list do mojej żony, gdzie jestem, i to posłałem przez śp. Dramińskiego, szwagra p. Sztremlera, dzierżawcy Wirów, lecz adres był do Wpani Dyr. Jaróchowskiej w landszafcie, aby ta pani mojej żonie zakomunikowała.

Po owym śniadaniu udałem się z Kamińskim do chaty, gdzie mieszkała wdowa mająca 66 lat, z córką i synem (był to ten sam fornal). Kamiński polecił téj dzie-

w czynie, aby poszła do brata po klucz, by mnie przebrać za wieśniaka.

Pocziwe dziewczę przyniosło klucz i przebrałem się w długą sukmanę, skórzane spodnie, buty, czapkę z barankiem graniatą, a moje rzeczy schowała. Oddałem jęj także paczkę z listami od męj żony, które pisała do mnie do więzienia, i te schowała. Kamieński dał mi dubeltówkę i do nięj naboje, te zawinęła dziewczyna w płachtę i zaprowadziła mnie do zagajenia. Tu wziąłem fuzyją i pożegnałem ją. lecz odrzekła:

— Ja tu będę wszystko panu przynosiła, co pan potrzebować będzie.

Stanąwszy w zagajeniu, co tu robić, nie mam gdzie usieść. Zginam chojenki i zwięzuję u góry, zakładam altankę; zbieram mech, robię z przepysznego mchu kanapę, połłogę wyściełam w desenie, stawiam krzyż przed nią, wszystko z mchu.

Po południu zjawia się do mnie Kamieński i powiada:

— Książd prosi ciebie i mnie na kolacyją. Przyjdź pod wieczór ku wsi, a ja się z tobą zobaczę.

Przed wieczorem udałem się i stanąłem pode wsią, on nadszedł i mówi:

— Za rychło jeszcze, więc nie pójdziemy przez wieś, lecz przez bród.

Zaprowadził mnie do karczmy, którą trzymał żołnierz z Napoleona czasów, śp. Pękałski. Przechodzę przez izbę za Kamieńskim, siedzieli w nięj wieśniacy i paliła się

lampka z knotkiem pływającym na oleju. Ja w sukmanie postępowałem za nim, on rzekł:

— Pójdź, to cię zgodzę.

Kiedy stanęliśmy w stancyji tegoż P., powiada Kamieński:

— Panie, każ zrobić 3 szklanki groku.

Kiedy były gotowe i gospodarz podał, mówi do P.:

— Panie, wiesz kto to jest?

Tenże wzdrygnął ramionami.

Kamieński powiada:

— To jest Lipiński.

— Co, to pan? Czekaście, to ja wam coś pokażę, co mi dziś po południu żandarm zostawił. Oto gończy list i mówił, że sto talarów dostanie nagrody, kto go dostawi.

My w śmiech.

— Słuchaj pan, to jutro mnie odstaw, a podzielimy się pieniędzmi. Mojej żonie oddasz 50 i sam weź 50 talarów.

— Ale, żandarm zamówił połowę.

— Słuchaj pan, niech te pieniądze przepadną, niż ja na moje stare lata miałbym się okryć hańbą, bo kto by uwierzył, że ja się z panem porozumiał? Nie chcę ani słyszeć o tém.

Wypiwszy grok, udaliśmy się do księdza. Kamieński śmiało mnie do pokoju wprowadza, lecz zobaczywszy, iż przed księdzem siedzącym na kanapie stoi jakiś człowiek, który usunął się do okna, ja przyszedłem do księdza, pochwalilem Pana Boga, czapką skłoniłem się do kolan, a ksiądz się pyta:

— Co mi powiesz, mój bracie!

— Oto przyszedłem do Jegomości i chcę dać na zapowiedzie.

— Dobrze, zaczekaj, jeno tego wyekspe-  
dyjuję, to ciebie zapiszę.

Tak stanąłem za tym człowiekiem, iż obróciwszy się ani mię widział. Z twarzy nie mógł także i wyszedł.

Ksiądz siostrze kazał, aby podała okien-  
nice. Wstał, uściskał i ucałował mnie i  
mówi:

— Wiiesz, że się zdumiałem na taką  
odповідź.

Niedługo przyniesiono kolacyją, zjadłem.  
Koniecznie chciałem, abym u niego nocował,  
lecz na żaden sposób tego przyjąć nie chcia-  
łem, mówiąc:

— Księżyczku, słyszałeś, że za mną  
wszystkie nieszczęścia idą; gdzie stąpnę no-  
gą, tego aresztują. Więc na co więcej nie-  
szczęść, ja pod gołębem niebem przenocuję, a  
tu nie!

— A to, kochany bracie, kiedy nie chcesz  
tego przyjąć, przyjm przynajmniej odemnie  
3 talary, wiem, że nie masz, a one ci się  
przydać mogą.

Przyjąłem.

Pożegnawszy się, poszedłem. K. zaś  
kazał owęj dziewczynie, Kasi otworzyć sto-  
dołę z tyłu i zrobić mi posłanie i tam się  
przenocowałem. Ze świtem już byłem w  
mojej altanie.

Kamiński uwiadomił w Głuchowie śp.  
Fiałkowskiego, że jestem w zagajeniu. Nie

wiedziałem przecież, że w oddaleniu odemnie o jakie 50 kroków, dwóch moich kolegów pod ziemią mieszkają. tj. śp. Józef Esman i Michał Wodpol. Wychylając głowę ze swęj kryjówki, widzieli mnie, że coś zbieram, że ktoś przychodzi do owego wieśniaka, widzieli i księdza i nie domyślali się, że ów wieśniak jest ich kolegą.

Była to Sroda, gdy się zjawił we wsi K. J., syn pani Dyrektorowej i chciał się widzieć ze mną, lecz nie znając nikogo we wsi, wrócił. Na drugi dzień przyjechała sama pani Jaróchowska Dyr. i czwórka stanęła przed księdzem.

Przedstawiwszy się księdzu, zapytała, czy by tu czasem nie było jakiej dziewczyny, której by mogła użyć za mamkę, bo tu piękny lud.

Ksiądz odpowiedział:

W tym momencie nie wiem, pani dobrodziko, lecz będę się starał dowiedzieć.

Pani Dyr. usiadła, jakoś się nie wynosi. Po długim namyśleniu pyta się księdza o mnie.

Ksiądz powiada, że wie.

Pani Dyr. mówi:

— To chciałabym dojechać.

— Nie radzę pani dobrodzice, mógłby być przypadek.

— Ja przywiozłam mu do przebrania rzeczy i 30 tal., chciałabym, aby się udał do Sokolnik i wyślemy go do Paryża. Jeżeli ksiądz będzie łaskaw, to tu zostawię, a ksiądz mu wręczy.

Było to w Czwartek; ksiądz przybył do zagajenia, wręczył mi pieniądze, a rzeczy K. odebrał i złożył u Kasi matki. Dziewczę miało wszystko pod sobą.

W parę godzin potem przyjechali do zagajenia z polecenia p. Fiałkowskiego z Konarzewa śp. Jakubowicz wójt i Marceli Ludwicki. Kiedy weszli do zagajenia, trafili na mnie. Pochwaliłem Pana Boga, czapką skłoniłem się do nóg. Jakubowicz zapytuje:

— Zkąd ty tu przychodzisz?

— Na gałązki.

— Czy nie wiesz, że p. leśniczy Wielński zakazał?

— Przepraszam, ja nie wiedziałem o tym. I poszli.

Nareszcie obróciwszy się, wołają:

— Wróć się.

Ja wpatruję się i poznaję ich.

— A toś ty w sukmanie? Słuchaj, czy wiesz, że tu jest Esman i Wodpol?

— Gdzie?

— Pójdź z nami.

I zaprowadzili mnie przed kryjówkę. Wychodzą z pod ziemi. Jakubowicz pyta się:

— Czy znacie tego człowieka?

Wzdrygnęli ramionami.

— W życiu nie widzieliśmy go.

Ja i oni w śmiech. Zdejmuję kaptur.

— A co, Józeku, znasz mnie.

— Ach, słuchajcie, toby go poznał.

Tu pytania, jak się tu dostałem. Opowiedziałem jak wyżej.

Teraz nadszedł leśniczy Wieliński z leśniczym Dramińskim. Stała narada, iż się ztąd w inne miejsce przenieść mamy, bo dla nas trzech nie było miejsca.

Pooddalali się wszyscy, a ja z Dram. poszliśmy szukać innego miejsca, znaleźliśmy i natychmiast chciałem wrócić po szpadle. Dram. pożegnał się i poszedł, a ja wziąłem Esmana, Wodpola i sam ze szpadlami zaczęliśmy tak pracować. że przed nocą była kryjówka na metr głęboka gotowa. Porobiłem framugi w ziemi, gdzie nasze wiktuały złożyliśmy; mieliśmy zapasu wszystkiego na 3 tygodnie. Z chróstu daszek niski zrobiliśmy i tak było wygodnie, że 3 materace mogły leżeć obok siebie.

Nadmienić muszę, iż pod ten czas jak ja szukałem z Dram. miejsca, w zagajeniu człowiek, który pracował w cegielni w Żabikowie u p. Mühle, przyszedł na gałązki i trafił na kryjówkę Esmana i Wodpola, a gdy mi powiedziano o tém, mówiłem:

— Czemuście go nie zatrzymali, gdybym tu był, byłbym mu dał pieniędzy i powiedział, kto my są, a nie byłby może nas wydał i rozgadał.

— To nam na myśl nie przyszło.

To źle; więc trzeba się ztąd wynieść, bo grozi nam niebezpieczeństwo.

Wyszedłem z zagajenia, lecz on był ku Wirom daleko. Trudno było za nim wołać.

Tak przyszła Sobota. Kasia przyszła do zagajenia, czy czego nie potrzebuje.





— Oto przynieś mi rzeczy do przebrania, a brata weźmiesz, bo jutro Niedziela.

Przebrałem się i odeszła. Kiedy nadszedł wieczór, przyjechał Jakubowicz i Ludwiczki. Opowiedzieliśmy co się stało, pozbiieraliśmy wszystko do jada i stanęło na tém, że w Niedzielę przeprawimy się przez rzekę i udamy się w Głuszyńskie bory.

Oni odjechali, my poszli na spoczynek.

Rano dnia 26. 4. wstaliśmy z Wodpołem i poszliśmy szukać główki od fajki, którą wieczorem gdzieś zgubił, lecz nie mogliśmy znaleźć. Piękny był dzień, już miało się ku wschodowi słońca, kiedy jedziemy i słyszymy jakiś turkot jak grzmotu. Wodpoł mówi:

— Grzmi.

— Ale gdzie, patrz ani jednej chmurki na niebie. Lecz uszedszy parę kroków, po drugi raz się to powtarza, a W. na to:

— Widzisz, że grzmi.

Ja stanąłem nie wierząc, W. odszedł odemnie z 15 kroków. Słyszę, że ktoś gwizdnął; powiadam:

— Jeżeli ktoś z naszych, to wie, gdzie nas szukać.

W. postąpił dalej, a ja stoję. Gwizdnęto drugi raz. Ja w miejsce W. posunąłem się dalej, a kiedy trzeci raz gwizdnęto, poszedłem ku temu miejscu, lecz w tym momencie napadło na mnie siedmiu żołnierzy z nabitą bronią i borowy rządowy. Zaczęli szarpać; ja na to:

— Czy uciekam?

Była to obława; wyprovadzono mnie na drogę i tu ujrzałem ten pochodzący grzmot. Było to półszwadronu, czy tam ileś huzarów i ci to na skinienie oficera jadąc, stanąwszy, ten turkot sprawili.

Obstawiono mnie na drodze wkoło huzarami, z odwiedzionymi broni kurkami. Za Wodpołem się puszczono, a Esman spostrzegszy się, zaczął uciekać. Strzelono i kula przeszła mu rękę.

Piechoty było 2 kompanije, 2 hornistów, 2 tamborów. Wtém kiedy stałem przy małej topoli, przyjeżdża na koniu p. Gregorovius komisarz. Zeskoczył z konia, przystąpił do mnie i zaczyna rewidować. Lecz jak włożył rękę do bocznej kieszeni i wyciągnął „Posenerkę,” którą przysłał mi pan Fiałkowski, wsiadł na konia i pojechał do majora, który tę obławę prowadził, pokazując „Posenerkę,” że Lipiński jest.

Pocziwy major przyjeżdża z p. G. na koniu, a stanąwszy przedemną, zapytuje, czy jestem Lipiński? Odpowiadam:

— Zu befehlen Herr Oberst Wachmeister (nazywał się von Wernike).

Podniósł rękę do kaszkieta i odezwał się w obliczu komisarza i wojska:

— Ich finde mich glücklich die Ehre zu haben Sie zu kennen.

Ja się odkloniłem, a on odjechał dalej.

[O tym pocziwym majorze wspomnę, gdy już później był jenerałem, jak mi oddał w Sremie po dwa razy wizytę.

Został pułkownikiem i bywał często w Górze u śp. hr. Platera, stojąc garnizonem w Sremie. Podczas austryjackiej wojny został generałem i wziął dymisyją, tak mi się zdaje, czy téż urlop i przyjechał latową porą do hr. Syn mój będąc księdzem w Sremie, tak samo jeździł do Góry.

Pewnego razu generał pyta hr.:

— Czy ten ksiądz jest synem tego Lipińskiego?

— Tak, a ojciec jego żyje i jest u niego.

Generał przystąpił do syna i przedstawiając się, powiada:

— Jeżeli ksiądz pozwoli, to was odwiedzę.

I po dwa razy był u nas, zjadł śniadanie i rozmawiał o ubiegłych czasach; wypił i wina, a wstając, wyrzekł do mnie te słowa przy pożegnaniu:

— Wié pan, teraz jesteście bliżej odrodzenia waszój Ojczyzny, jak kiedy był spisek.

Z synem grał w szachy, a odjeżdżając podawszy rękę, serdecznie uściskał.]

Tu sprowadzili Wodpola i rannego Esmana. Komisarz posłał po konie na Olendry Rosnowskie i zabrano nasze szynki, ryby marynowane, pieczenie i rozmaite trunki. Z tych i oficerowie się najedli i nie mogli wydziwić się, iż tyle tego tam było. Dojechalśmy do wsi tj. Esman jechał, my zaś szli ten kawałek pieszo.

Tu aresztowano gorzelanego Kamińskiego-

Józef Lipiński.

go i owego fornala. Nie opisuję tu szczegółów co się działo.

Pan Sztremler, dzierżawca, poprosił majora, czy by nie pozwolił, aby nam mógł dać furmankę.

— I owszem.

Żołnierzom zaś kazał rozdać chleba, wódki i piwa.

O niczem nie wspomnę tu co się działo, jak o biednej dziewczynie i jej matce. Te stanęły za płotem i patrząc, płakały, ale ja widząc, trząsnąłem głową, aby tego nie czyniły i stały potem spokojnie.

Przejeżdżając czterokonnym wozem w zniwnych drabkach przez wieś, tambory bębniłi nam wszędzie. Przyjechaliśmy na Wilde. Kiedy wjechaliśmy na Półwiejską ulicę, zaczął się lud gromadzić, lecz ani Niemcy, ani nikt nie urągał się nam, owszem zewsząd z okien powiewano białymi chustkami.

W hotelu Rzymskim pełno dam nas witało; kłaniałem się na wszystkie strony. Właśnie odbywała się parada na Placu. Cała świta rzuciła się do baryjery, aby mnie widzieć; zawieziono mnie przed policyją. Tu stanęliśmy.

Przystąpił pan Kliem komisarz i zeskoczyłem z woza; wojsko obstało obok teatru plac, gdzie odstawiono Esmana i Wodpola; drugich nie widziałem; 30 tal. papierowych, które miałem i gończy list, co podczas podróży wsunąłem w but, tj. w cholewę fornala, aby księdzu oddał, to wróciło do

godnych rąk pani Dyrektorowej Jaróchow-  
skiej.

Wprowadzony zostałem do bióra policyji.  
Tu oczekiwał mnie pan prezydent Minutoli.  
Założono mi łańcuszek na rękę i nogę i za-  
częto indygacją.

Zarzucano mi, iż połamałem drzwi i  
kratę. Roześmiałem się i powiadam:

— Patrz, pan P., to tak prawdą, jak  
to że, należę do spisku i zapytałem się,  
czy znaleźli ów wytrych?

— Znaleźli.

— Otóż to co zrobiłem, a resztę opo-  
wiedziałem jak wyżej, uchodząc z fortecy.

W tém powiadam:

— Panie Prezydencie, każesz mnie  
słuchać, a ja jeszcze dziś w ustach nic nie  
miałem.

— Czegoż żądasz ?

— Mam tu w sakiewce 25 fen., prosit-  
bym o chleb z masłem, szynkę i kufelek  
piwa.

Nie chciał odebrać pieniędzy i kazał  
przynieść piwa i chleba z masłem bez szyn-  
ki. Z apetytem jadłem pomimo indagacyji.

Tu nadmienić muszę, że kiedy komisarz  
Elsner na drugi dzień usłyszał, że uszedłem  
z fortecy, powiedział prezydentowi, że mnie  
trafił; prezes na to:

— Czemu go pan nie aresztował?

— Czy ludzie sobie nie podobni? czy  
mógłem wiedzieć, że uszedł z fortecy?

Tu się prezydent pytał, czy ja ich wi-  
działem.

— Tak jest.

Zapytał się o Teofila i Kunkiewicza, że ich wypuściłem.

— Panie Prezydencie, teraz macie panowie pięciu na to miejsce.

— Czy pan handel z nami prowadzisz?

— Nie, ja za tych dwóch, pięciu wprowadziłem.

— Patrz pan, ile kosztów zrobiłeś przez tę ekspedycję, wojsku 225 tal. (czy prawda, nie wiem).

Odpowiedziałem, że bym był wziął połowę i sam wrócił.

— Patrz pan, co ze mną robi rząd, oto wprowadzono mnie do miasta na wozie trymfalnym, jak Numę Pompiliusza do Rzymu, i nie pojmuję, co to kiedyś ludzie powiedzą, czytając, co panowie robicie ze mną.

W tém prez. powiada:

— Patrz pan, żona pana stoi z dziećmi przy Teatrze.

Ja udaję, że nie widzę.

Wskazuje mi żonę i dzieci.

— Widzę!

— Czy pan chcesz się z nią widzieć?

— Czy będę wolny?

— Nie!

— Więc i widzieć się nie chcę!

— Tak, bo uszedszy z więzienia, byłeś u niej.

— Tak, panie, byliśmy razem.

Oburzony powiada:

— Ja nie byłem.

— Więc jeżeli pan prez. nie był, z ką wiesz, że ja byłem?

— Patrz, pan, ile tu publiczności jest, i myślą, że my panu głowę urwiemy.

— Przecież pan masz moc kazać porozpędzać. Ci ludzie patrzą na tę komedię, co panowie robicie; jest to wstyd dla rządu.

Przy całej tej rozprawie był świadkiem śp. pan Dyr. Jaróchowski, któremu p. prez. nie wzbronił przystępu.

Zamknięto mnie w więzieniu; do czasu aż się lud rozszedł, wtenczas zajechał powóz i pan komisarz Kliem przyszedł; wziął mnie z sobą do powozu i z żandarmem odwieziono mnie do fortecy do Rawelinu Nr. 4. Gdy tu wszedłem, wprowadzono mnie do celi Nr. 18.

W pierwszej celi siedział Dr. N., mając żelazne paciorki na ręku i nodze; mnie zdjęto moje i zabrał je żandarm. Pomyślałem, jaki to grzeczny pan prezydent, że mi kazał zdjąć. Ze wszystkich cel więźniowie, kiedy ucichło, pytali, czy mi się nie chce jeść. Byłem głodny; przysłano mi przez dozorcę jedno i drugie.

Wieczorem znużony położyłem się w gatkach na łóżko i zasnąłem, lecz budzę się słysząc w nocy brzęk kajdan. Myślałem, że nowego prowadzą więźnia, ale ujrawszy światło i zgrzytnięcie klucza w zamku, widzę inspektora, dwóch dozorców i słószarza Weissa, młodszego, ze św. Marcina z paciorkami.

Inspektor oświadcza mi, że będę zakuty. Wyciągnąłem nogi i zanitował mi obręcze na jednej i drugiej, leżącemu na łóżku. Rzuciłem nogi z kajdanami na łóżko i odwróciłem się od nich, nie odpowiedziawszy ani słowa na dobranoc. Ciężka to była noc, gdyż nie wiedziałem, jak położyć nogi przed kajdanami.

Nie pamiętam, czy pierwszego czy drugiego dnia zawołać mnie kazał znany mi teraz Dr. Dunker. Jak tu pójść w gatkach na Kernwerk do niego i w kajdanach, lecz Dr. N. dał mi swego płaszczka i poszedłem w szkarpetkach, a był to kawał drogi, bo od ostatniego blokhausu do koszar. W środku od małej śluzy wlokłem kajdany, które się co moment guziły i stanąłem nareszcie przed owym Dunkerem oraz Meisnerem.

Tu zaczął indagacją o ucieczce, z kąd fuzyja i z kąd dostawaliśmy jeść. Pomijam wszystko, lecz najgłówniejsza, że powiada do mnie:

— Słuchaj pan, tak długo zapierałeś się że o niczym nie wiesz, że do spisku nie należałeś, ale teraz mam dowody czarne na białym, coś pan opowiadał we więzieniu, i stojąc przedemną, wpatruje się we mnie i mówi:

— No, co pan mówisz na to?

— Proszę pana dyrektora, abys mi to przeczytać kazał.

Otóż czyta dosłownie wszystko co mówiłem do więźniów, lecz opowiadałem to zawsze, co mnie tenże Dunker zarzucał,



nie mieszając tego, abym się przyznawał do czegoś.

Po przeczytaniu mówi, czy nie opowiadałem tego.

Przyznałem, że słowo w słowo prawda.

— A więc przyznajesz się, że wszystko prawda, mówił stojąc przedemną rozgniéwany.

Podniosłem nogę z kajdanami i jak uderzyłem w podłogę, Dunker odstąpił i pyta:

— Co się to ma znaczyć?

— Panie dyrektorze, jak pan możesz tak mi wpierać?

— Wszak pan przyznałeś, że opowiadałeś?

— Tak, ale ja się pytam, czy wiedzieć i opowiadać jest jedno i to samo?

— Nie!

— Czy pan dyrektor masz tu moje akta, to się przekonaj, że opowiadałem to coś mi pan zarzucał, a jeżeli panu opowiadano, to opowiadano to, co stoi w aktach.

Wziął je do ręki, a przejrzawszy, iż się wszystko zgadza, pisze krótki protokół i nadmienią, że co powiedział p. p. o mnie, nie ma żadnej podstawy.

W późniejszych protokółach, kiedy jeszcze więcej dokuczał, powiedziałem mu:

— Panie dyrektorze, proszę nie wpieraj we mnie, nie dręcz mnie i wyciągnąłem rękę, kajdany na nogach mając.

— Żebyś pan żywcem wyciągał żyły ze mnie, nic powiedzieć nie mogę, nic nie

wiem i żadnego z mych braci obwiniać nie mogę.

Nie wiem, czy tego człowieka wzruszyło to. Podał mi rękę i rzekł.

— Słuchaj pan, od dziś dnia nigdy już słowa nie usłyszysz, abym ci wpierał, widzę, że się poświęcisiz.

— Myśl pan dyrektor jak chcesz, lecz dziękuję panu za to, że przestaniesz mnie dręczyć.

— Kajdany, mówił, poproś pan szefprezydenta, to panu zdjąć każe.

— Prosić nie będę. Kazał włożyć, tj. zakuć, niech każe i zdjąć. I po 4 tygodniach zdjęto.

Nie piszę, ile przykrości mi robiono, bo za wiele do opowiadania. To nadmienić muszę, że w czasie indagacyji pewnego razu powiedziałem mu:

— Pamiętaj pan, że pan dyrektor za mnie hańbę poniesie; co później opiszę.

Ten co o tém wszystkim powiedział Dunkerowi, toż samo o Dr. N. i o p. Wł. Kosińskim, jak się później dowiedziałem, był Emil Moszczeński.

Zwołano później 1846 Immediat komisją i dnia 8go Czerwca zwieziono mnie do frontestu. Tu miałem do czynienia z godnym ze wszech miar ś. p. dyrektorem Guderjanem.

Zaczął znowu owę indygacyją od początku. To co więc przed Dunkerem powiedziałem, toż samo i przed dyrektorem G.

Zaszła tylko konfrontacyja pomiędzy

mną i mojim wujem, dziekanem koźmińskim, a proboszczem odalanowskim, ks. Bernardem Bibrowiczem, tym, który w Tumie nad zwłokami śp. Kościuszki miał kazanie żałobne.

Zaszczycony przez śp. księcia Antoniego Radziwiłła względami, szefprezydent Frankenberg nakazał tę konfrontację. Kiedy go przywołać kazał dyrektor G., ja zaprzeczyłem zeznaniu jego, chociaż uznałem podpis jego. Był on we wieku 67 lat. Dyrektor G. po przywitaniu się mojim z nim, poprosił go, aby także usiadł i prosto mu daje do zrozumienia, mówiąc, że ja zapieram, abym coś mu mówił o spisku i t. p.

— Zresztą ks. dziekan przypomni sobie, może wmówiono w ks. dziekana, może być tak jak pan Lipiński powiada.

— Trudno, powiada, ja zeznałem prawdę, co on mi mówił.

Pan dyrektor mówi:

— Cóż pan na to?

— Panie dyrektorze, jak mi bolesno, iż muszę to powiedzieć, iż mój wuj będąc prawie jedną nogą w grobie, drugą na ziemi, może taką nieprawdę mówić w obliczu Boga i ludzi.

Powstał na to i mówił:

— Ty chłopcze, śmieiesz mi to w oczy mówić?

Założywszy ręce na krzyż kazał go dyr. G. odprowadzić.

Kiedy odszedł, pan dyr. G. mówi do mnie:

— Przecież tak stary i godny kapłan kłamać nie może.

Odpowiedziałem, że żałuję, ale mu pomóc nie mogę.

Teraz weszliśmy na klucz do fortecy.

— Panie dyr., obwiniają mnie, że miałem do głównej bramy fortecy klucz dorobić. Z dyr. Dunkerem tę rzecz wyklarowałem, że to kłamstwo. Panu zaś dyr. oświadczyć to muszę, że gdybym miał należeć do spisku, nie potrzebowałbym klucza. Zapytaj pan wszystkich więźniów cywilnych i wojskowych, czy któremu wiadoma, że się brama bez klucza otworzy jak ta. To nie są zasuwki ściągnięte, tak aby się brama otworzyć nie mogła.

— Więc zrobię protokół i pošlę majorowi Prytwicowi.

— O nie, jeszcze jedno. W reducie Nr. 4 toż samo, tak iż jeżeli się więźniowie spostrzegą, to wszyscy 18tu wyjść mogą.

— I któż okuwał te bramy?

— Z Bydgoszczy ślósarz.

Zrobił protokół; podpisaliśmy go i posłał majorowi, który na drugi dzień zaraz kazał poprzerabiać, a więźniów z reduty 4tej poprzesać.

Co się tyczy inkwizycji dalszej, to wszyscy ci co mnie obwiniali, sami się poplątali, wyjąwszy tylko jednego, który nastawał na mnie, że byłem niebezpiecznym agentem przeciw rządowi pruskiemu; o którym dowiedziałem się dopiero w Berlinie

przed kamergerichtem, że to był Walenty Stefański, księgarz.

Posłano dyr. do Krakowa, bo mnie zarzucano znajomość z hr. Wiesiołowskim. Dosyć, że po 10 dniowych indagacjach odwieziono mnie do fortecy.

Pomijam inkwizycyją, która była interesująca, już to na osoby, już też ludzi co się mną zajmowali, kiedy dyr. G. był w Krakowie. I znowu nastąpiła pauza, lecz nie długo. Więzienie moje było takie, żegniły materace podemną. W Czerwcu palono jeszcze w piecu, a kiedy skarżyłem się przed Dunkerem, odpowiadał:

— Zgnij psie, nie masz litości na tobą.

— O, ja mam czerstwe zdrowie i zniosę wszystko.

Naraz zaczyna się nowe śledztwo. To mnie wożą, to znowu zjeżdża dyr. Kaulfus i znowu od początku zaczyna mnie słuchać. Ja się pytam:

— Panie dyr., ile razy będę składał już trzeci raz piszecie.

A pan dyr. mówi, że to znowu sądowne.

Ale to wyznać muszę, iż postępowanie tych sędziów ze mną było takie, że wszelki szacunek wzbudzali we mnie. A chociaż pan dyr. Kaulfus użył czasem swęj powagi i dotknął mnie, umiałem jego serce tak wzruszyć, iż pewnego razu powiedział, czy mu w nie zaglądałem, że wiem jego myśli.

Tu zachodziły przed nim całkiem no-

we sprawy, o których ani dyr. Dunker, ani dyr. G. nie wiedzieli. Lecz pomimo wyjeżdżania na komisyją niczem mię obwinąć nie można było. Jeszcze w roku 1847, w początku Stycznia, zaczęto mnie o ks. arcybiskupa Przyłuskiego, lecz wszystko na niczem się skończyło. Był to teraz ostatni koniec indagacyji. Zapytuje się więc:

— Panie dyr., teraz pewno uwolnionym będę?

— O nie. Prawda, że ci nic nie zrobią, panie Józefie, ale posiedzisz, bo szefprezydent twierdzi, żeś należał do spisku.

Już więzienia wypróżniały się, to puszczano na wolność, to do Sonenburga lub Berlina wywożono. Osamotniony prawie byłem w Raweinie, aż tu 3 Lutego 47go r. rano o 7ej przychodzi dozorca, abym się zabrał, bo mam wyjechać.

Zabrałem się prędko i wychodzę. Na Akcencie, tj. poza Kernwerkiem stoi powóz, pocztylion i podoficer od huzarów. Siadamy trzej i wiozą mnie do fortecy. Na Kernwerku mieszkał inspektor; tu zastałem oficera od landwery, pana Neumana. Oświadcza pocziwy inspektor, że mam jechać do Berlina. Poprosiłem go, aby moje rzeczy pozostałe i bieliznę oddać kazał méj żonie. Dał mi na drogę tuzin cygar; pożegnałem się i wsiałem do powozu z oficerem, a podoficer naprzeciw mnie.

Moja żona wiedząc, że wywożą więźniów

co dzień o 8ój rano, myślała, że i mnie zobaczy, lecz inaczéj się stało.

Z fortecy skrećiliśmy na prawo ku Urbanowu. Tu przejeżdżając przez bramę małej słuzy, widzę niejakiegoś Niemca Kluga, dozorcę wałów, stojącego z żoną. Spojrzeli się na mnie, skiwnęli głowami i natychmiast posłał żonę, aby mojej żonie powiedziała, że mnie wywieźli ku Urbanowu. Lecz przy końcu fortecy jest droga na Jeżyce, tam skrećiliśmy do szosy i pojechaliśmy do Gaju.

Tu pan Neuman, umiejąc dobrze po polsku, rozmawiał zemną cały czas; w Gaju kazał dać śniadanie i zapłacił talara 25 fen. i ruszyliśmy do Pniów. Tu był obiad; zapłacił za mnie, podoficera i siebie 3 talary. Wypiłem sobie i wina szklanke.

Po drodze powiadał mi, że ma na drogę 56 tal., że mam sobie nie żałować, bo są pieniądze na to. Podziękowałem mu za życzliwość.

— Lecz mam prośbę do pana porucznika.

— A jaką?

— Oto proszę pana, jak wrócisz do Poznania, podziękuj p. szefprezydentowi, że umiał uszanować moję osobę; a to, iż dał mi pana porucznika za adjutanta, a huzar jest ordynansem mojim.

Naśmiał się z tego, bo huzar nie rozumiał nic, cośmy mówili.

Przyjechałem do Moabitu 4. 2. 47go r. rano o 8mój; oddał mnie p. kapitanowi Gra-

bowskiemu. Musiałem się tu rozebrać do koszuli, pomimo, iż protestowałem, że jadę prosto z fortecy; nic nie pomogło, zrewidowano. Zabrali mi maszynkę do kawy i flaszkę z kawą i zaprowadzili mnie pod Nr. 3. Cella ta była przyszykowana dla mnie; z dwóch stron byli dozórcy. Opisywać jej nie będę.

Gdy drzwi zamknęły się za mną, usiadłem na stołku zwrócony do okna, lecz co moment ktoś zaglądał do mego we drzwiach okienka; ja się ani obejrzałem. Tak przesiedziałem z dwie godziny. Nareszcie nie słysząc nic, wstałem, aby się przypatrzeć tej mojej siedzibie.

Naraz słyszę pukanie niby pod ziemią; chodzę i słucham. Nareszcie przy drzwiach w kąciuku odsuwam frankę i słyszę pukanie. Chwytam za rury, czuję że mocno gorące i zadrżało pukanie, więc odpuknąłem; słyszę głos:

— Kolego, kto jesteś?

Odpowiadam:

— A ty ktoś?

— Kaźmiérz Błociszewski.

— Zkąd się wziąłeś?

— Z Sonenburga.

— A dawniej gdzie byłeś?

— We fortecy Rawelinie 4, a Nr. 17.

— Kto siedział obok ciebie?

— Józef Lipiński, akademik, dzisiejszy proboszcz Wrzesiński, budowniczy Gabryelski, Frąckowiak i Dahlman.

Odpowiadam:

— Jestem Józef Lipiński.



Puka.

— Co chcesz?

— Donoszę dalej, Józef Lip. przywieziony rano o 8ej i siedzi Nr. 3.

Niedługo trwało, kiedy się pyta:

— Czy masz co, czy czego nie potrzebujesz?

— Wszystko mi zabrano.

Odzywa się dalej:

— Zawołaj dozórca Arendta, ten co tu u nas jest i powiedz, mu, aby poszedł pod Nr. 124, czy 5ty, a wszystkiego dostaniesz.

Dzwonię; dozórca wchodzi i pyta się, czego żądam. Prosiłem go, aby wszedł bliżej. Kiedy go proszę, aby mi szedł pod ów numer, że dostanę czego mi potrzeba, odpowiada:

— Panie, jak możesz coś takiego żądać?

Odpowiadam:

— Jeżeli pan nie możesz, nie rób z tego użytku. I odszedł.

Pomimo tego udał się pod ów numer. Dochodziło pół do 12stój, gdy wchodzi do méj celi i wszystko przynosi i przeprasza mnie, że mi odmówił, lecz ten graf mi kazał to wszystko zanieść. Tak tytułowano p. Mateusza Moszczeńskiego z Srebrnej Góry; a z nim siedział Adam Mieczkowski. Później, kiedy się rozeszła wiadomość po więźniach, pan hrabia Seweryn Mielżyński i inni panowie dostarczali mi wszystkiego do zbytku.

Teraz pomijam wszystko i zaczynam od inkwizycji.

W czwartej sprawie pana Wł. Kosińskiego powołany zostałem przez tegoż obrońcę pana Krelingera za świadka. Prokurator Węcel pozwoił; chodziło o Dunkera, który świadczył przeciw panu Wł. Kosińskiemu.

Zapytany przez prezydenta w oczach Dunkera, co mówił do mnie, co mi obiecywał w indagacyji, wypierał się wszystkiego. Prezes pyta, co ja na to. Prosiłem, aby mój protokół odczytany został z dnia 25. 11. 46.

Wzięto moje akta.

— Prezes pyta:

— Czy cały?

— Nie! koniec.

Odczytał więc tłumacz Jeżewski koniec. Co się tyczy króla, wszystko mu powtórzyłem w oczy. Prezydent pyta Dunkera:

— Jeżeliś pan nic do Lipińskiego nie mówił, a protokół składał się z pytań i odpowiedzi, z kąd pochodzi Lipińskiego odpowiedź przy końcu zeznania.

Dunker odpowiada:

— Była to jego fantazyja i napisałem.

— Więc wykonasz pan przysięgę.

— Biorę na moję służbową.

Prezydent mówi:

— Pan musi przysiądz.

Skiwnął na nas, ja odstąpił. Dunker przysiągł.

Na drugi dzień kapitan wchodzi do méj celi i powiada:

— Widzisz pan, Dunker złożony z u-

rzędu, sędziowie i prokurator przekonani, że krzywo przysięgł i skompromitował króla.

Pod ten czas na galeryji można było widzieć generałów i ministrów.

Opuszczam to wszystko i idę do méj sprawy. Wuj mój odwołał i został uwolniony. Przeciw mnie wystąpił Stefański; w oczy mi powiedział o tém co wyżej pisałem.

— Odpowiedziałem, że ja pracowałem i nie mogłem żadnej agentury prowadzić; lecz on, jako księgarz, prędkiej się tém trudził. To mu wyszło na złe wszystko

Co się tyczy Emila Moszczeńskiego, zapytał prezydent prokuratora, czy ma go jako świadka powołać; prokurator odpowiedział, że on nie wart, aby mi w oczy stanął. Taką więc odebrał nagrodę. Prokurator uzasadniając skargę przeciw mnie, wyrzekł te słowa:

— Hoher Gerichtshof, wenn ich soll sprechen von dem Gefangenen, der hier jetzt vor dem hohen Gerichtshof stand, nach seiner Aussage, so muesste ich sagen, dass er der unschuldigste ist unter allen Gefangenen, aber so schlecht wie er aussieht, besitzt er einen natuerlichen Verstand, nehmen Sie seine Akten in die Haende, wie er vorsichtig war, so war er vorsichtig in der Verschwourung itd. gadał. Wniósł zaś pod toporek.

Kiedy nastąpiły wyroki 2 Grudnia 47go r., sąd skazał mnie na 8 lat do domu poprawy, za to, że musiałem wiedzieć.

Józef Lipiński.

Żona dowiedziawszy się 3. 12go o tym wyroku, na dzień 7go 12go przez asesora Hercberga odesłała dowody mego urodzenia do sądu i natychmiast zawołany zostałem. Zapytano się mnie, czy jestem szlacheckiego urodzenia.

Nie wiedziałem o niczém, zkaąd pytanie, bo list pisałem 6. 12go do żony, a ten leżał na stole, że może będę potrzebował dowodów, ale spojrzawszy, ujrzałem moję metrykę i jakieś papiery. Odpowiadałem.

-- Tak jest!

Czy pisałem o to do żony? Odpowiadam:

— List mój tu leży.

— Czemuś pan w czasie inkwizycji nie mówił tego?

— Jestem Polakiem i nie używałem tego i nikt mnie się o to nie pytał.

Więc sędzia czyli Dyr. powiada, że wyrok zostanie zniesionym z cuchthausu na fortecę. I skończyłem.

Dnia 18. na 19ty 48go r. opół do 5tej wybuchła rewolucja. Była to Sobota, W Poniedziałek zgromadził się lud i otworzono więzienia i w tryumfie z chorągwią białą i pąsową i niemiecką zaprowadzono nas przed pałac królewski i tu nas król przywitał z balkonu.

Dnia 22. 3. udałem się do Poznania pocztą i jeszcze z dwoma spotkałem się więźniami. Odjeżdżając pod Poznań, zatrzymano pocztę; przed Jeżycami jeszcze daleko była bryczka. Wsadzono mnie do niej, od-

przagnięto konie i z takim tryumfalnym pochodem, z wielu chorągwiami ciągnięto przed ratusz. Toż samo i tych dwóch więźniów; koron tyle mi na głowę włożono, że musiałem je we wózek składać.

Tu w Komitecie oznajmiłem ś. p. hr. Potworowskiemu, co zaszło w Berlinie, że król dał rozkaz zorganizować Księstwo, a p. Mierosławski wysłał mnie z śp. Dr. Libelem, abym to oznajmił. Z ratusza poszedłem z wielkim tryumfem jeszcze z moją żoną i dziećmi do domu, aby ich wszystkich uściskać.

Wiadoma o tém, że miała być reorganizacja Księstwa. Już do domu wszystko popowracało, a ja się jeszcze w Poznaniu zatrzymywałem i robiłem, co mi z Komitetu nakazano. Już i generał Mierosławski był w Miłosławiu, a ja w przeddzień konwencji Jarosławieckiej musiałem się wynieść, aby mnie policja nie wzięła w swoją opiekę. Pojechałem więc do Miłosławia i co było potrzeba, kazałem robić dla naszej obrony.

Mięzkałem w pałacu u śp. hr. Seweryna M. Tu przyjechała żona moja z trojgiem dzieci, lecz po paru dniach zamierzalem ją z dziećmi, zawieźć do Benic, do wuja mego i siostry, gdyż tu nie podobna było aby została. Wziąłem więc pozwolenie od Naczelnika i we Wielką Sobotę puściłem się pod Krotoszyn. Konie miałem z Miłosławia do Jarocina. W Jarocinie miałem dostać od p. hr. Radolińskiego; udałem

się do tegoż, a że już późno było, zatrzymał mnie na kolacyji.

Już konie były przygotowane, kiedy służący wpada do pokoju i powiada hrabiemu, iż wojsko pruskie napadło po rezurekcyi lud i jest rzeź w Koźminie. To też kazał wyprządz i w pierwsze święto miałem wyjechać, a nieznałem innej drogi jak przez Koźmin. Dojeżdżając do wsi, pod Wałkowem, już nam na probostwie pokazywano trzy trupy zamordowanych.

Gdy dojechałem do Koźmina, pikietą i dwóch ułanów zatrzymali nas. Zjawia się oficer i pyta, gdzie jadę?

— Pod Krotoszyn, do krewnych.

— Zkąd?

— Z Jarocina

— Czy są w Jarocinie kosyniery?

— Są.

— Dużo?

— Bardzo, i dla tego nie chcę się narażać i wyjeżdżam z żoną i dziećmi, ale przez miasto jechać nie można. Proszę pana porucznika, czybyś nie był łaskaw i kazał nas przeprowadzić po za miastem.

Nakazał ułanowi, abyśmy przeprowadzeni byli boczną ulicą nad stawem. Tu jeszcze w ulicach zbroszone krwią kamienie były. Dojechaliśmy do młyna, tu ułan oddał nas piechocie i wyprowadzono nas na szosę krotoszyńską. Każdemu z nich dałem po złotówce, a że powiedzieli, iż z Krotoszyńska ma przyjść oddział wojska, to też udałem się w prawo na Wygodę, aby się z nimi nie spotkać.

Przybyłem więc do wuja; nie widziałem ani jego, ani siostry od 45go r. Spodziewałem się miłego przyjęcia, aż tu ksiądz:

— Po coś przyjechał, Prusacy lada moment nadejdą i dla ciebie i nas pomordują.

Nie chciał nawet dzieci zatrzymać. Zjadłem małe śniadanie. Zostawiwszy żonę z córeczką 8 letnią, bo tę zatrzymali, wiedząc, że moja żona posiadała język niemiecki i przytém energiją, ja sam z dwoma synkami jeden 10, drugi 11 lat liczący, wyjechaliśmy, lecz już nie na Koźmin, tylko na Rozrarezew, aby ominąć Prusaków.

Tu ks. proboszcz przyjął mnie z dziećmi i nocowaliśmy. Dopiero w Poniedziałek ku wieczorowi stanąłem w Jarocinie. Hrabia już sądził, że zginałem razem z końmi i człowiekiem. Przenocowawszy się w pałacu, we Wtorek stanąłem w Miłosławiu; z dziećmi miałem tu wszelką wygodę.

Wiadoma, że przed bitwą w miłosławiu ktoś zapalił dom rządcy miłosławskiego na folwarku; będąc tam, zacząłem broń sikawką, aby się nie zajęła kancelaryja hrabiego. Już byliśmy pewni, że ogień się nie rozszérzy, gdy słyszę strzał armatni i wojska pruskie nacierać zaczęły. Śp. pani hrabina wyjeżdża z pałacu, a przejeżdżając woła na mnie, abym dał jój dzieci, które wzięła do Chrustowa.

Opisywać nie mam dalej potrzeby, jak to, że trzeciego dnia wychodziliśmy do Wrześni i tu była walka; potem na Gembice

do Mogilna i znowu nazad, aż do Grabowa pod Miłosław. Tu mnie zawołać kazał śp. Mierosławski i odezwał się do mnie:

— Słuchaj, bracie, została zawarta konwencyja i każdy może wracać do domu.

— Więc mamy się rozchodzić?

— Tak.

— Czy mamy zabezpieczony powrót? Czy dla nas coś zrobiono?

— Tak, oświadczył pułkownik Brzeżański.

— O zawartej konwencyji więc przeczynałem, mówiąc do pana: w Berlinie 256 nas było we więzieniu, dziś wszyscy.

— Wiem, żeś bez pieniędzy, oto masz 10 tal.

Pożegnałem się i odszedłem. Kiedy przyszliśmy do Miłosławia, pojechałem po moich chłopców i zabrałem ich do Czarnego Piątkowa. Tu ztąd wszystko na dobre z rozpaczą się rozchodziło. Ja mając wózek, wziąłem mych chłopców i puściłem się w drogę, a na forszpana nawinął mi się młody kosynier, który jeszcze kulę szpiczastą miał w szyji. Stał także przedemną Marcin Bendowski, służący majora Wronieckiego i prosił mnie, abym go zabrał.

Perswaduję mu, że może nieszczęście go spotkać, wie, jak Prusacy na mnie zagniewani, lecz nie dał się przekonać i zabrałem go z sobą.

Przez Środę jadąc, miałem w myśli zawięzić dzieci do Tulc, do rządzcy tamtejszego p. Mojżykiewicza, aby moje dzieci mogły



pójść do gimnazyjum, ponieważ 10go Maja miały się rozpocząć szkoły, a to był 9ty Maj.

Nie przypuszczając, abym mógł natrafić na wojska pruskie, jechaliśmy wolno, bo śpiąc w Czarnem Piątkowie pod gołem niebem, musiałem dzieci moje obtulać na wózku, aby się nie przeziębyły; znużeni wszyscy, drzymaliśmy. Kiedy podjechaliśmy pod Tulce, dwóch huzarów na pikiecie zawołało:

— Halt werda! i pod tym konwojem zawieziono mnie przed pałac.

Tu wyszedł rotmistrz wraz z rządcą, który mnie przywitał i prosił rotmistrza, abym się z dziećmi mógł posilić. Zasiadliśmy wszyscy do śniadania, podczas którego rotmistrz zapytuje się mnie o nazwisko. Powiedziałem. Zamyślił się a potem pyta, czy siedziałem w Berlinie.

— Tak.

Rozśmiał się i mówił:

— Erster Fang, aber gut.

Zakomenderował czterech huzarów i jednego za forszpana. Napisał do komendującego generała i pojechaliśmy ku Poznaniowi. Lecz tego nie przewidywałem, abym tyle doznał nieszczęścia. Jak się tylko mój wózek pokazał za mostem, tak na Szerokiej ulicy zebrały się tłumy żydów i Niemców, krzycząc:

— Schlagt den polnischen König tot!

Bito kijami, plwano, rzucano błotem i kamieniami, a im dalej do Rynku, tym gorzej. Huzary, zamiast bronić, pozwolili ro-

bić téj czeredzie co chciała. Wieziono mnie w pas przywiązanego do wózka, mój forszpan i Marcin Bendowski mieli ręce w tył skrępowane; dzieci moje przy nogach siedziały. Wieziono mnie tak jak na śmierć, wolno, a coraz więcej żydów i Niemców wypełniało ulicę teraz Nową. Piasek i kamienie warczały nad głową.

Mając kuferek z bielizną i bojąc się o dzieci, gdy ta czereda nacierała, podniosłem go i zamierzyłem się, a tym sposobem ani jeden kij, ani jeden kamień nie trafił mnie, ani moich dzieci; pomimo iż huzary grozili mi, wołałem:

— Zakażcie żydom i Niemcom!

Widocznie ręka Boża czuwała nad nami. Zajechawszy bowiem przed jenerała komenderującego, rzuciła się znowu ta tłuszcza na mnie i dzieci. Tu Niemiec, jak mi mówiono, radzca regencyji, skoczył na wózek i wołał na tę zgraję:

— Ludzie, co chcecie, jeżeli zawinił, to go kara spotka, ale wy nie macie prawa do zamordowania go.

Wprowadzono mnie w podwórze. Zjawił się Hojer, sekretarz p. Minutolego i krótki protokół ze mną zrobił w stancyji stangreta jenerała, w podwórze. Opowiedziałem com robił, i gdzie byłem i odszedł. Schodzę ze schodów i zastaję w podwórze całą swiętę wyższych oficerów wraz z jenerałem Colombem.

Biorą mnie w środek i pytają, gdzieem był i com robił.

Opowiedziałem wszystko.

Pytał się, z kąd mieliśmy kule.

Odpowiedziałem:

— Kul nie mieliśmy, tylko ciężarkami strzelaliśmy.

— Z kąd kartacze?

— Tego nie znam, bo w wojsku nie służyłem.

Pyta:

— Te małe kule do armat?

— Te kazałem ciąć z okrągłego żelaza.

Po rozmaitych pytaniach mówił:

— Czy to wdzięczność, żeś został ułaskawiony przez N. Pana i poszedłeś przeciw rządowi walczyć?

— Niepotrzebowałem amnestyi, bo byłem niewinny, a jeżeli poszedłem, gdzie były kadry nasze, wierząc w to, co N. P. Król powiedział, to poszedłem, gdzie miałem obowiązek.

— Der Kerl muss kriegen binnen 24 Stunden Kugel vor Kopf.

W tém słyszę płacz i wołanie.

— O mój Boże!

Spoglądam i widzę moich chłopców pod remizą. Żal mi serce ścisnął, lecz już zwątpilem i myślałem: teraz się zemszczą nademną.

Tu przybywa generał Vater Steinecker, któremu komenderujący powiada, co ze mną zrobią.

Vater Steinecker miłosierniejszym się pokazał, mówiąc:

— Ekscelencyjo, trzeba mu dać przynaj-

mniej 3 dni czasu i przesłuchać całe zbrodnie, które popełnił.

Kończąc to, przyjechał konno generał pacyfikator Pful i ten w imieniu króla zawiesił na 2 tygodnie tę sprawę, aby wprzód mnie wysłuchać.

Podczas téj tragedyi ze mną, odbywała się druga; moja żona usłyszawszy, że mnie z dziećmi przywieźli, chciała iść do generała, ale jak ta czereda zobaczyła ją, zaczęła bić i krzyczeć. Przecięto jój głowę przez kapelusz i tylko przy pomocy śp. Sobeckiego, który miał handel sukna w Bazarze, udało się wyrwać ją z ręki téj tłuszczy i wciągnąć do handlu zamknąwszy, i tak uszła większego pastwienia się.

Wracam teraz do sprawy, co się dzieje ze mną. Dzieci odesłano do domu, mnie związano nogi tak, że ledwie mogłem posunąć jedną przy drugiej, ręce skrępowano w tył przy łokciach i złożono mnie na kupie kamieni z bruku, w téj remizie na lewo, która jeszcze dziś stoi.

— Tu postawiono 2 Pomrów z nabitą bronią. Żydzi, Niemcy przychodzili, pluli, kopali i piaskiem sypali na mnie i tak cały czas trwało. Koło kwandrans na 4tą przywieziono mnie.

W tém żołnierze podnoszą mnie i każą mi wyjść z remizy; posuwam nogi i stanąłem przed schodami przy remizie; tu mówią:

— Ty, coś taki przebiegły, pokaż swój kunszt i wnidź na górę.

Stoję, bo jak? uderzył mnie jeden w

bok, potoczyłem się na drugiego i padłem w znak. Bogu mam do zawdzięczenia, żeś sobie głowy nie rozbił.

Działo się to w oczach jenerała komen-derującego Colomba. Podnieśli mnie, odwią-żali jedną nogę, a chwytając za sznur, po-ścigali wkoło podwórza.

Kiedym spojrział po za siebie, to po-mimo nieszczęścia, w duchu śmiech mnie pobierał, bo wyglądało to tak, jak gdy wie-przka na targ pędzą.

Zwiążali nazad, złożyli na kamieniach i toż samo się działo co wprzód, a nikt nie zakazywał tego prześladowania żydom i Niemcom.

Ku wieczorowi wszedł do remizy ku-piec żyd Busch, mający handel obok Bi-blioteki Raczyńskiego, a pełno było téj zgraji.

Mówi do mnie, bo znał mnie dobrze:

— Panie L., wie pan, co o panu mówią i obwiniają?

— Nie wiem.

— Oto powiadają, że pan zabiłeś me-go ojca i drugiego żyda na kórnickim tra-ckie; lecz to być nie może, ja pana znam, to kłamstwo. Toż samo powtórzyła „Po-senerka“. Nie, nie, nie! nie wierzę. I po-szedł, lecz tłuszcza nie ustępowała.

Już prawie zmięrczać się zaczęło, gdy wszedł jenerał Dr. Ordelin, wziął mnie za rękę, pomacał puls i poszedł. Wkrótce wra-ca; sam mi powrozek zlużował, abym miał wolniejsze ręce, zawsze leżąc wznak na ka-

mieniach, i tak mi dokuczano i prześladowano.

Bogiem się świadczę, że sądziłem, iż mnie zamordują. Sługa stojący 8go pułku bierze bagnet, przyciska mi broń na pierś, drugi odzywa się:

— Patrz, jak on na ciebie patrzy.

Odejmuje bagnet i mówi:

— Ja cię nie przebiję, bo i tak cię kula czeka.

Takie to prześladowanie, takie na jgranie trwało do zmięzchu.

Był to 9ty Maj 48 r. Zmęczony, znudzony zdrzymnąłem się na kamieniach. Już było pół do 11tej w nocy, gdy naraz powóz zaturkotał w podwórzu. Zbudziłem się, słyszę szcęk pałaszy i w tém wszedł komisarz Kliem z żandarmem i mówi:

— Wstań pan!

— Nie mogę.

Rozkazał żandarmowi, aby mi nogi rozwiązał; wyszedłem. Wsiadliśmy troje do powozu, czterech huzarów obok nas konno i tak jechaliśmy przez plac Działowy do Kernwerku; ręce miałem związane.

Pan Kliem poszedł zameldować komendantowi fortecy Helendorfowi. Mnie zostawił na dziedzińcu z żandarmem. Nim wrócił, ile to mnie żołnierze naszturchali, nawzywali i to jeszcze giftmischerem; mówili, że chciałem ich wytruć, bo taką bajkę powtarzał i Dunker. Prosiłem więc Boga, abym się z ich rąk wydostał.

Kliem zaprowadził mnie do tego ganku,

który prowadzi z fortecy na wielką służę. Tu widzę odwach i wepchnięto mnie do niego, lecz wiadoma, że znałem fortecę.

Gdy kilka kroków uszedłem, napotkałem na nogi ludzkie; trzymając się lewego muru, gdzie są szyszaty, patrzałem macając, czy gdzie nie masz próżnej framugi. Idąc coraz dalej, znalazłem jedną próżną. Wyciągnąłem barłóg z pod nóg leżących i potrząsałem nim cegły i na tych prawie gołych ceglach spocząłem.

W dwa dni potem do tegoż ganku sprowadzono śp. adwokata Krauthofera Jakóba; miał on na ręce i nodze łańcuszek zamknięty na klódkę i przeklinał, jakim prawem mogą to robić. Perswadowałem mu, że się postaram o gwóźdź i otworzymy klódkę, aby mógł spać.

Przyjąłem go do mej framugi, lecz tylko trzy dni był ze mną i czy mu zaś zaraz zdjęto te łańcuszki, nie wiem.

W parę dni, będąc w ganku, ku środkowi, słyszę od bramy wołanie naszego ludu wiejskiego:

— Żyd! żyd!

Obracam się i widzę postępującego coraz dalej w ganek człowieka, a nasi się gapią i wołają:

— Żyd!

Wracam naprzeciw idącemu; kiedy stanąłem o trzy kroki, zawołałem:

— Doktorze, jak się masz?

Rzucił mi się na szyję z płaczem.

— Ach, jak szczęśliwy jestem, że

ciebie spotykam! Patrz, bracie, co ze mną zrobili.

Poraniony i krwią oblany stał przedemną i pokazał mi swój kuferek z bielizną pokrwawioną.

— Oto w tym murku będziemy obaj spali.

Widząc to współwięźniowie, że się tak ścikaliliśmy obaj, ucichli.

Był to Dr. Mosse z Grodziska, lecz tylko parę dni. Aby mu dokuczyć, wysłano go do Kistrzyna pieszo. Wiadoma, jakie przechodzili ci ludzie koleje.

Mając wychodzić, dał mi kartkę do swój żony, abym jego kuferek odesłał do mój żony, która miała go przez ludzi pana Bibrowicza odesłać do Grodziska. Przez żołnierza posłałem go wraz z kluczykiem.

— Lecz cóż się dzieje; oto po odebraniu kufereka wpada policycja do mój żony, zabiera kuferek, mówiąc, że to po tych zabitych dwóch żydach. Moja żona nie chce pozwolić, lecz ulegając przemocy, poszła na policyjną mając kartkę i kluczyk.

Przejrzeni i wtenczas kazali mój żonie odebrać; lecz powstała na to, mówiąc.

— Jeżeliście wzięli, to odesłajcie.

I tak wzięli człowieka i odesłali, a nie zaś przeniesli do ganku na małej służbie.

Wiadoma, że wypuszczając więźniów, piętnowano ich, a potem wzięli się na sposób inny, wyrzynając trójkąty na głowie. Otóż ranżerowali nas jak konie.

Stanęliśmy w szeregach, i tak, który się



audytorowi spodobał, został przeprowadzony po za linią żołnierzy. Tu byli balbierze, zczesali włosy i nad czołem wystrzygli trójkąt i puścili.

Dosyć, że i mnie wyranżerowano. Biędny nasz chłopek aż płakał prawie, jak im wyrzynano, a ja ich pocieszałem, mówiąc:

— Czego płaczesz, czy cię tym hańbią? Oto idźcie z gołą głową i pokazujcie tę hańbę tych co to robią.

I ja czekałem na owę szuypę. Więźniowie wołali:

— Królu, nie opuszczaj nas.

Ja odpowiedziałem:

— Jak powiem mu moje nazwisko, to sam mnie cofnie. Prawdziwie, cieszył bym się był, żeby mi byli wycięli ten trójkąt.

Kiedy przyszła kolej na mnie, zapytuje się o nazwisko. Powiedziałem.

Bierze mnie za ramię i cofa za ów kordon do moich kolegów, którzy schwyтали mnie za szyję, a audytor przypatrując się, uśmiechał się, że mnie tak przyjmują.

Nadszedł już koniec Czerwca; córka moja ma 8, codzien przychodziła do mnie rano, o 11tej przed południem. Tak sa-owska, z kobietą, która miała kawę, edaż, wchodziła do fossy i przynosi wszelkie wiadomości, co się dzieje w więzieniu.

Było to 30go Czerwca, napisałem jej list do żony, mówiąc:

Niech matuchna idzie tam, gdzie wskazuje kartka, a jutro, moja Maryniu, przynieś

mi odpowiedź.

Odebrawszy żona kartkę, udała się do śp. sędziego kryminalnego Tiehla i zapytuje go :

— Jak stoi z mojim mężem?

Pan sędzia pyta:

— Czy jeszcze siedzi?

— Tak!

Więc udaj się pani do pułkownika Hendorfa, aby go wypuścił, ponieważ my po przejrzeniu akt zadekretowaliśmy, iż sąd kryminalny przyjąć go nie może i wnosi o uwolnienie.

1go Lipca, tj. na drugi dzień, oczekiwałem uwolnienia, bo co zaszło, już wiedziałem. Żona moja przyjechała z powozem po mnie i poszła do komendanta, a ten jej kazał odjechać, mówiąc, że mnie nie wypuści.

Po południu zakomenderowano dwóch żołnierzy i transportowano mnie na policyjną. Kiedy mnie wprowadzono, zapytano: czego chcę.

Wskazałem na żołnierzy, i kazano im wrócić, a ja mogę iść do domu.

Późniejsze ztarczenia pozostawia

*J. Lipiński!*

Jeżeli ktoś pragnie przekonać tém postępowaniu wtenczas władzy, weźmie do ręki broszurę wydaną w linie (Zur Beurtheilung der Polnischen I ge im Grossherzogtum Posen. 1848).



105

Nr 620549

\*KSIEGARNIA\*  
ANTYKWARIAT



Nr 620549

XXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXX

WYŻSZA SZKOŁA PEDAGOGICZNA W KIELCACH  
B I B L I O T E K A

113653

Biblioteka WSP Kielce



0156453